

Relacja z pobytu na Syberii Kazimierza Sagan ,w miejscowości Pit Gorodok obł. Krasnojarskaja i Ziernosowchoz Nowoajdarskij obł. Woroszyłowgradzkaja, w latach 1940-46. I/1028

Dzisiaj jest, którego mamy dzisiaj? Pierwszy grudzień 1993 r. Przebywamy na ulicy Morskiej w Koszalinie, u Sybiraka, który się zwie Sagan Kazimierz. Sybirakiem się stałem w roku 1940, od 10 lutego na 11 luty. W nocy dzięki naszym sąsiadom, którzy nas władowali na sanie i przygarnęli nas aż w Krasnojarskim Kraju, Udierejskim rejonie, Pit Gorodoku. Przywieźli tam nas po trzymiesięcznej podróży. Podróż się rozpoczęła w saniach. Przyszli do nas konduktorzy w czapkach ze szpicami do góry, którzy się nazywali po prostu NKWD. W trakcie pakowania się chodzili za mamą i za starszą siostrą, pilnując ich skrupulatnie, żeby za dużo nie wzięli, żeby konie mogły uciągnąć, to , co ze sobą weźmiemy. Niewiele tego towaru się wzięło, no bo oprócz tego to jeszcze musieli mnie zabrać jako czteroletniego chłopca, starszą siostrę ode mnie o dwa lata, no dwa i pół i najstarszą siostrę, która razem z mamą pakowali się na wyjazd. Spakowani na saniach, przywieźli nas na dworzec kolejowy, w tej chwili nie mogę dokładnie powiedzieć, jak on się nazywał, bo to było w nocy, byłem mały i nie pamiętam. Przypominam tylko sobie, że władowali nas do wagonów, tak jak to nieraz się tu wozi u nas tam towary różnego rodzaju, czy zwierzęta. Z tym, że oprócz tego, że to był towarowy, to jeszcze w małe okienka były w nim które zostały zakratowane, żeby przez nie, nie można się było wydostać. W tak załadowanym wagonie ulokowali nas na pryczach jednych, drugich pod pryczami. Trudno mi powiedzieć, ile nas rodzin jechało, w tym jednym wagonie, ale sobie przypominam, że mimo to , że nie było tam żadnego ogrzewania dosyć duszno nam było. Tak nas wieźli dosyć daleko. Może troszeczkę o tym środowisku, w samym wagonie jak tam wyglądało. Jedni byli u góry, na pryczach porozkładani, tam mieli swoje do spania, drudzy na podłodze na dole. W jednym rogu wagonu

była wywinięta dziura, co dla odważniejszych i mniej krępujących się służyła za wc ,do załatwiania się. Choć nie wszyscy z niej korzystali. Tak jak pamiętam jedna z dziewczynek, nie wiem czy to była moja siostra czy inna to się nawet załatwiła do jednego z pasażerów buta. W trakcie tej podróży, wiem, że było mi bardzo gorąco i bolała mnie głowa, podejrzewam, że miałem dosyć wysoką gorączkę. Niewiele wiedziałem, co się dzieje wokół mnie. Wiem tylko tyle, że mama tam postękiwała niedaleko koło mnie z bólów, bo akurat była w poważnym stanie. Po jakimś czasie, dowiedziałem się, że nasza rodzina wzbogaciła się o dwóch członków, o braci. No niestety nie było im przeznaczone żyć za długo. Niedługo po porodzie zmarli. Był kłopot. Dobijaliśmy się do drzwi, aby coś z tym fantem zrobić. No i na najbliższej stacji jakoś weszli do nas, sprawdzić, jak my żyjemy no i przy okazji ojciec wyszedł razem z naszym dobytkiem, na siarczasty mróz, śnieg. Powędrował pod najbliższe krzewy, zarośla, gdzie dla tego naszego, naszych potomków po prostu stworzył przypadkową mogiłę. Do tej pory nie wiemy, gdzie to było, jak ta stacja się nazywała i jak podejrzewamy, że ucztę mieli jacyś tam zwierzaki, które się tam znajdowały niedaleko, na polach, czy w lesie, niewiadomo, trudno nam określić, gdzie ich mogiłki się znalazły. Po niedługim czasie matula się tak mocno rozchorowała, że znowu przy najbliższym postoju musieliśmy ją z wagonu wysadzić i postarać się aby ją zabrali gdzieś do opieki lekarskiej. Zostawiliśmy ją a sami pojechaliśmy dalej. W niedalekim oczekiwaniu dotarła do nas już po zabiegach, po zastrzykach, trochu wzmocniona i dotarliśmy do celu. A celem był Krasnojarskij rejon. Nie naszym tylko przymusowym dla nas, zgotowanym przez NKWD. Przywieźli nas tam, nas dzieci razem z matkami i drobnym rodzeństwem pozostawili, a starsze rodzeństwo i ojcowie po prostu zostali zabrani, powieźli ich dalej w głąb tajgi. W tajgach musieli

starsze rodzeństwo i rodzice przygotować po prostu lokum dla nas i dla siebie. W trakcie dokonywania wyrębu tajgi. Dla nas to była katorga. Mrozy, śnieg po pas, dla dzieciaków, którzy się tam znajdowali tak jak my, to wogóle to nie było do wytrzymania, bo nas poobtulali, pookręcali, tak myśmy się ruszać wogóle nigdzie nie mogli. Z opowiadania wiem, z opowiadania ojca i matki, że oni musieli po prostu w pierwszych dniach pobytu zrobić sobie szałas z gałęzi, z młodych drzew szałas, w których tam mieszkali i robili wyrąb drewna. Z biegiem czasu, w wolnych chwilach, kiedy nie mieli już, jak to określić, czasu przeznaczonego na pracę, tylko na swój wypoczynek, który przeznaczali na budowanie domu. Po prostu ścinali duże drzewa i z tych drewn po prostu budowali chaty. Chaty drewniane z kłoców. Między te kloce wkładali mech, uszczelniając, żeby między przestrzeniami, między jednym a drugim kłocem nie było przewiewu. Tak przygotowane ściany zostawały przykrywane później również belami ale przecinanymi na pół i drażonymi, coś w rodzaju takich korytek długich. I korytka się zakładało jedno nad drugie, kładąc na dachu. Po środku takiego baraku, z beczki^w, których tutaj w obecnej chwili przewozi się różnego rodzaju oleje, smary został wykonany piec, a rura z tego pieca była puszczana prosto do góry. W piecu tym się paliło drzewem, które pochodziło dosyć z bliska, z tajgi. Rąbało się po prostu za rogiem, jak to się określa, i paliło. Palić zimową porą trzeba było przez 24 godziny. Zawsze ktoś przy piecu siedział i palił. A inni znowu, jak już wrócili z pracy to musieli przygotowywać do palenia drewno. Musieli ciąć, łupać, rozrębywać. Koło rury u góry ten dach się oczywiście wypalił, no bo to też drewniane było. No i tam była poprzekręcana ta rura drutami, żeby nie dotykała nigdzie drewnianego dachu, żeby się w nocy dom nie spalił. Na dole, na podłodze, po prostu nie było żadnej podłogi tylko uklepana

posadzka. Na tej posadzce, było tam wbitych parę kłoców, na tych klockach było no po prostu również z podręcznego materiału, jakim było bele kłoców, powykonywane prycze i na tych pryczach żeśmy spali. W takim baraku różnie bywało nieraz 3-4 rodziny, mieszkało. W kącie jednym stało zawsze wiadro, służyło nam za wc, z którego korzystali dzieci, a w okresie nocnym to i dorośli. Ten kubeł zawsze z rana ktoś tam wynosił, wylewał za domem. W trakcie trwania zimy, jak już poprzednio wspominałem, trzeba było palić 24 godziny na dobę w tym piecu aby można było jakoś w tym baraku wysiedzieć. Zimy tam są dość długie. Trwają one około 9 miesięcy, długie i srogie i bardzo śnieżne, śniegi po pas. Jak śnieg spadł pierwszy, na początku zimy tak dopiero się topił na koniec zimy, nie było przerw tak jak u nas jest to popada, dwa dni śnieg, później znowu chlapa i deszcze. Tam była raczej zima ciągła. Lata mieliśmy dosyć krótkie ale za to obfite i w grzyby i w jagody. Zwierzyny nie było zbyt dużo, nie uświadczyliśmy tam ani psa ani kota. Za to tam nas dosyć często nawiedzali wilki, które były naszą zmorą, bo niebezpiecznie było samemu wyruszać w las. Oprócz wilków były takie bardzo drobniutkie muszki. Nie wiem jak się one tam nazywały, ale te muszki, były bardzo jadowite. I po ukąszeniu kilka takich muszek człowiek po prostu puchł. I co gorsze te muszki były takie natrętne, że ciężko się było przed nimi ochronić. Wszędzie wchodziły, siatki na twarzach nie pomagały nic, tam korzystaliśmy z odwiecznych przepisów, którzy tam już mieli tamtejsi ludzie. Po prostu sobie taki smar szykowali w okresie lata topiąc nie topiąc, wyciąg z kory jakichś drzew, jakie to drzewo było trudno mi powiedzieć. Wiem, że stawiali beczkę i do tej beczki wkładali tą korę, zalewali ją trochę wodą i prażyli tą korę tak długo aż tam się taka po prostu podobna coś do smoły wytworzyło dosyć takie czarno-brązowa maść, zapach był z tego no

trudno określić, tutaj w tej chwili takiego zapachu no nie spotykam. W każdym razie dosyć ten zapach był skuteczny na te muszki. Myśmy się właśnie tym dziegciem smarowali idąc do lasu, czy zbierać jagody czy grzyby czy tak nawet przebywając jak wiadomo wyszło się za próg to już był las. Już trzeba się było przed tymi muszkami chronić. No prawie że trzeba było być wasmarowanym tym dziegciem przez cały czas od zmroku do świtu. Bo w nocy to ^{jednak} te muszki jakoś szły spać. Ale znowu nocą inne gadgstwo nas atakowało tzw. pluskwy, których nie brakowało nam, w naszym baraku kochanym. Nie dość, że nam było i tak ciasno to jeszcze i oni się tam wśród nas zagnieździły. Bardzo ciekawe to są stworzonka. Bo w dzień to nieuświadczyliśmy, polowaliśmy na nich, trudno nie było siły, żeby ich wszystkich wytępić. Gdzieś się pochowały w zakamarkach między belami, w tym mchu, który nam chronił, żeby tam nas ochraniał przed wiatrem i zimnem, to oni korzystali z tego i tam sobie robili schowki. Gdy przyszło się nam już wypoczywać, nocą, światło zostało pogaszone, tylko żeśmy słuchali "pac" coś zleciało ze sufitu, to na jedno to na drugie i żeśmy dopiero polowali na nich ale na własnych ciałach, jak już sobie żer uskuteczniali. Nie wiem czy to ich było śniadanie czy obiad dla nich no w każdym razie traktowali nas jako świetny kąsek i apetyczny.

Naszym posiłkiem codziennym to była zupa, trudno mi powiedzieć, ile tam tej zupy było, nieraz ja chodziłem również po nią do stołówki, z kanką dwulitrową, mnie tam w tej kance dwulitrowej raz naleli tam trzy chochle raz cztery chochle raz pięć, to zależy, jaka tam zupa była. Raz była gęściejsza raz rzadsza. Niosłem to do domu, w domu to rozcieńczano, żeby to jednak starczyło dla każdego po troszku tej zupy do zjedzenia. Chleba też nie za wiele nam dawali, też był przydział i trudno to nieraz było nazwać chlebem. Ten chleb różny był, raz był z jęczmienia raz był z kukurydzy,

innym razem znowu tam jakaś inna mieszanina ,w każdym razie dosyć to ciężkie było no i mało podobne do naszego obecnego chleba.I tym żeśmy się żywili.Pamiętam, nie zawsze donosiłem tą zupę do domu.Był taki jeden przypadek, kiedy mi się ta zupa wzięła i wylała, potknęłem się po prostu.Stracha miałem iść do domu.Co robić?No ale doszłem, mimo to ,że ciągi dostałem, dostałem słusne ciągi no ale i tak moje rodzeństwo i rodzice byli głodni, nie najedli się moimi cięgami.Nieraz niedojedzeni musieli i tak rano wstawać, mama z ojcem i ze starszą siostrą szli do tajgi drzewo rąbać.Z siekierami ,z piłami.Do czego to drzewo było potrzebne?No tak jak już na wstępie wspominałem do budowy tych baraków naszych.Oprócz tego tam płynęła wielka rzeka zwana Jenisiejem.Tą rzeką płynęły statki tzw parachody. Statki napędzane parą, a żeby para była to potrzebne było drzewo, żeby palić w tych kotłach parowych.I się to drzewo zносиło nad brzeg Jenisiju, układało w takie sąźnie, i to już nie pamiętam, ile tam tych kloców było w takiej sązni ,w każdym razie służyło ono do napędzania parachodów, tych parostatków.Zawsze te parostatki podjeżdżały pod brzeg, jak im brakowało opału, spuszczały, łączyli swój statek z brzegiem pomostami zrobionymi z dech, beli i po tych deskach, po belach przenosili po prostu to drzewo przygotowane na statek, po prostu, które to drzewo im służyło do opalania w kotłach.To było zajęcie dla dorosłych.My natomiast dzieciary, jak to było lato, mieliśmy raj, frajdę.Zawsze jak się do lasu wskoczyło do tej tajgi to tam można było i jagód znaleźć i znaleźć było finie tzw. nie wiem czy to dokładnie określam, po prostu było większe jak nasze czarne jagody i rosły nie na malutkich krzewinkach, jak u nas jagody tylko troszku na większych krzewach, podobne no trochu do naszych malin te krzewy były czy coś, no i myśmy tam pałaszowali to.Nawet nie odczuwaliśmy zbytnie-

go głodu. To zawsze można było się najieść. Tymi owocami.

Pytanie: "Czy rodzice dostawali pieniądze za tą pracę?"

Praca przy wyrębie drzewa była opłacana w tzw. rublach czy czerwienicach, w tej chwili trudno mi coś powiedzieć, oprócz tego dostawali kartki żywnościowe, na żywność. To były takie kartki jak u nas kiedyś były na cukier, chleb, mąkę, na kaszę. A resztę pieniędzy co zostawało z tych kartek to przeważnie kupowali spirytus. Spirytus nam służył po prostu do picia. Zimową porą jak nie było czym się rozgrzewać to się rozgrzewało spirytusem. Tak dorośli jak i dzieci. Mi się też tam nieraz przytrafiło łyknąć na rozgrzewkę. Nikt tego za złe nie miał. Ale muszę zaznaczyć również, że oprócz wyrębu w lasach drewna, powstała brygada, która była poszukiwawcza za złotem. I do tej brygady mój ojciec się dostał. I jak już się ta brygada rozwinęła, zaczęli znajdować tam to złoto, trochę nam się polepszyło. To za to złoto w tej brygadzie pracownicy dostawali specjalne bony i za te bony kto co chciał mógł sobie pójść do sklepu i sobie kupić. I wtenczas nie były potrzebne kartki. Bo można było za te bony wszystko sobie kupić, co było tylko w sklepie. Ale to ci dostawali te bony, którzy pracowali właśnie przy tym wydobywaniu złota. Bardzo to prymitywne było to wydobywanie złota jak sobie ja w tej chwili przypominam. Po prostu były to wykonywane duże, głębokie doły. Do tych dołów były spuszczone no coś w rodzaju naszych balii, nie balii, na kołowrotkach i wyciągane później do góry. I były takie dwie. Jedna schodziła na dół, druga do góry. I na dole tam byli ludzie, nawet wśród nich mój ojciec tam też był dołowym, który tam do tej balii wkładali tą ziemię, nie ziemię, glinę, trudno to określić, w każdym bądź razie to takie żółte było, jak nasza żółta glina, tam gdzie nigdzie się spotykało kamienie, i to wszystko do tej balii wkładali i wywozili na tym kołowrotku do góry. Siłą napędową były

konie. Był po prostu taki kierat, jak to u nas na wsiach nieraz się spotyka do młocki nie młocki, jak to dawniej młócili. Te kieraty u nas na Syberii po prostu służyli do wyciągania tego iłku czy tej gliny złotonośnej. Tą glinę złotonośną wyciągali i ładowali ją do malutkich takich wagoników, które były popychane, wiezione do specjalnej myjni. Mniej więcej ta myjnia wyglądała w ten sposób, to był duży barak. W tym baraku, na tym barakiem po prostu tak było usytuowane, że płynęła sobie jakaś tam strumień czy kierowali jakimiś tam specjalnymi przewodami czy korytem wodnym wodę i ta woda była skierowana do takich niecek. W tych nieckach po prostu były ułożone początkowo maty. Tak jak u nas nieraz są w tej chwili przed drzwiami do wycierania nóg, takie no mata, z takim włosem długim, na te maty były kładzione metalowe sita, co rusz to o większych otworach^k. I do tych korytów sypało się tą ziemię, którą przewozili tymi wagonietkami i tą ziemię się szorowało takimi motykami jak to u nas nieraz tylko, że dłuższe kije trochu były i mocniejsze, jak u nas na działce nieraz się tam plewi nimi, tam czy no robi działkowe roboty. I to się tą ziemię razem z tą wodą zgarniało po tych nieckach, co raz to niższa aż całkiem się wygarbiało. Pod koniec zmiany, po całodzienne takim szorowaniu tej ziemi, którą przewozili z tych kopalń, wyciągało się maty i z tych mat po prostu no jak to określić takie małe korytka, dżubanki takie jak nieraz pokazują na filmach dawnych, jak to dzieci kąpali w takich nieckach, po prostu do tych niecek zmiatali wszystko to, co zostało po prostu w tych matach. I płukali, to cudowali z tym i wreszcie tam pokazywało się tam parę okruszynek tego złota. Brali to komisyjnie oczywiście, szli do kantoru ważyć. Tam przeważnie pod dozorem naszego, nieustającego stróża "anioła", kilku żeśmy takich mieli w naszej osadzie z temi szpiczastyymi czapkami. Szło się i ważyło to złoto. Po zwa-

żeniu lakowało się i zamykało się trudno określić, jak to było, w takiej skrzyni, w takim kufrze, też komisyjnie i czekało aż się większą ilość nazbierało no i później albo ktoś wyjeżdżał i wywoził to złoto, po prostu do miasta. Podejrzewam, że to szło do Krasnojarskiej obłasti. No i stamtąd przywozili dla nas zapłatę, a zapłatą było tak jak już mówiłem specjalne bony, za które można było sobie wszystko kupić. No przy tym złocie to tak długo nam nie było sielankowo. Gdzieś nie cały rok, do chwili wzięcia ojca do I Armii Kościuszkowskiej. Jak już zabrali ojca do I Armii Kościuszkowskiej, tak i urwała się nam i złota żyła, z której żeśmy czerpali i mieli korzyść. Po prostu taką, że mogliśmy się do syta chleba najeść, bo nie było to już przydział tylko za każdy bon, który mogliśmy otrzymać. Przypominam sobie, że w trakcie pracy ojca przy tym wydobywaniu złota akurat było Boże Narodzenie, to ojciec dla całej rodziny, bo tam inni pozostali członkowie rodziny już ^{się} nie dostali do tej brygady, urządziliśmy po prostu takie święto. Było wszystko, oprócz jajka. Zdobyliśmy tylko ćwiartkę jajka, żebyśmy na Boże Narodzenie po prostu mogli podzielić. Na Boże Narodzenie ćwiartkę jajka. Cóż dalej? Jak zabrali ojca, zabrali nam i dostatek. Znowu popadliśmy w biedę, a na dodatek jeszcze nam się urodził brat. Wtenczas już wogóle była czarna rozpacz. Przypominam sobie, matka wszystko oddawała, żeby gdzieś troszku mleka zdobyć. Kubełek po mleku żeśmy z siostrą starszą pługali dopóki się jeszcze biała woda okazywała, tośmy pili i cieszyliśmy się, że my też mleko pijemy. Ojca zabrali, to po ojcu został nam pas z nabojami i fuzja dwulufowa. Bo ojciec tam no bez karabinu, bez dubeltówki to tam dorosłym to raczej trudno się było poruszać. Raz, że zwierzyna, dzik a szczególnie niedźwiedzie i wilki, a drugi raz to i niebezpieczni ludzie również tam, choć byliśmy daleko od jedna osada od drugiej, także tam trudno było się nawet mazać,

żeby ktoś tam wziął i uciekł. Raz że drogi były nieciekawe, drugi raz no dalekie.

Pytanie: "Skąd miał tam broń? Kto mu dał?"

A skąd miał tato broń? Po prostu broń wymienił sobie nie wiem, już trudno mi powiedzieć za co, ale ojciec tam miał oprócz tego, żeśmy ze sobą wzięli tam najpotrzebniejsze rzeczy, to wzięliśmy jeszcze radio słuchawkowe. I podejrzewam właśnie, że za to radio słuchawkowe ojciec tam od kogoś dostał broń. I to dużo nie brakowało, że zamiast broni to by dostał ale kulkę w plecy, dlatego, że go podejrzewali, w początkowej fazie, że jest szpiegiem. Bo nie wiedzieli, że to się nadaje tylko do słuchania, a nie do nadawania. To radio słuchawkowe, takie zwykłe, zwyczajne, proste radio, jak to w tej chwili niektórzy sobie domatorzy sami kryształkowe robią. Z tym, że my mieliśmy normalne to radyjko kupione i mieliśmy oprócz tego jeszcze wzięliśmy jeden zegar ścienny. Normalny, wahadłowy zegar. Za ten zegar ścienny żeśmy wymienili sobie jak ojca zabrali na wojnę za wiadro kartofli. A za drugie wiadro kartofli, to jak żeśmy zjedli, właśnie te naboje, tą ojca flintę. Także żeśmy mieli dwa wiadra kartofli do jedzenia za ten przybytek. No z drugiej strony, jak już ojca wzięli do tego wojska, już go tam zakwaterowali i władze radzieckie już tam uznali nas, to trochę żeśmy dostawali też jakieś ulgi i wynagrodzenie za pobyt ojca w wojsku, także już nam się również troszku polepszyło w pewnym okresie pobytu ojca w wojsku. I tak żeśmy na tej Syberii przebywali dość długo. Może w tej chwili coś opowiem no o swojej nauce, którym rozpoczynałem również na Syberii. Był to taka osada niezbyt duża, w której no ja wiem, czy to tam sąsiedzi, bo tam było kilku dorosłych, polskich ludzi, w tym pomieszczeniu, gdzie ja mieszkałem sam, bo ojciec był zatrudniony, nie ojca wzięli wtenczas nie był jeszcze zatrudniony w tej brygadzie wydobywczej, matka z siostrą znowu w innych rejonach tajgi byli zatrudnieni przy

wyrębie drzewa, a w związku z tym, że tam w Związku Radzieckim było przymusowe chodzenie do szkoły, w wieku szkolnym to ja znowu przebywałem w innej miejscowości, tam gdzie szkoła była. A starsza siostra ode mnie z najmłodszym bratem znowu przebywała razem z mamą, tam gdzie mama wyrębywała drzewo, tam i ona była. Także mimo to, że nasza rodzina się składała wówczas z dwie siostry, mama, ojciec, brat i ja, to nas było 6 osób i mieszkaliśmy w trzech miejscach. I każdy sam, na własną rękę musiał sobie zapewnić wyżywienie, śpianie no i pobyt. No oprócz tego jeszcze chodziłem ja do szkoły. O tyle mieliśmy dobrze w tej szkole, początkowo w tajdze, że idąc do szkoły mieliśmy już zapewniony tam pożywienie. Różne to było. Raz była "czeremucha" to coś w rodzaju dzikiej cebuli czy to dziki czosnek był solony w beczkach i później w zimę to się konsumowało. Później były robione pierożki z grzybów solonych. I takie pożywienie my maluchy mieliśmy w szkole. W szkole to jak w szkole. Uczyliśmy się ruskiego. Polskich szkół tam nie było, zresztą tam nas Polaków było dosyć mało. I tak żeśmy tam przebywali w tym niezbyt uroczym zakątku do roku 44. W roku 44 władowali nas znowu na sanie, znowu nas dowieźli do stacji, no tym razem trochę już lepsze były wagony, bo już mogliśmy sobie otworzyć i okienko. Choć też to były wagony towarowe. I wywieźli czy podwieźli nas bliżej naszej granicy. Bliżej Polski. Myśmy w początkowych chwilach cieszyliśmy się, że już wracamy do Polski. No niestety. Dowieźli nas do Wołoszowgradzkiej obłasti i zawieźli nas do kołchozu tzw. Ziarnosowchozu, już bez ojca. Jeszcze muszę napomknąć sam wyjazd. Otóż, wszyscy już zaczęli wyjeżdżać, szykować się, a moja najstarsza siostra, która pracowała przy wyrębie drwa, na okres letni zabierali ich do przygotowywania siana dla koni. I ona również się znalazła w tej brygadzie, która tam wyjechała, po prostu łodziami

wzdłuż Jenisieję przygotowywać to siano. Już wszyscy wyjechali, no myśmy nie mogli bo czekaliśmy jednak na siostrę, to trwało gdzieś około miesiąca, czekania tego. W zdenerwowaniu, w napięciu niczym żeśmy wyruszyli, bo dopiero nam dowieźli po miesiącu siostrę, załadowaliśmy się wtenczas do łodzi i tymi łodziami żeśmy płynęli do stacji kolejowej. Ze stacji kolejowej dojechaliśmy do Ziarnosowchozu samochodami ciężarowymi, takie jak tutaj u nas są te zielone nie zielone radzieckie, takim zielonym najprawdopodobniej, ja już dokładnie nie pamiętam marki tego samochodu, zawieźli nas do Ziarnosowchozu, do olbrzymiego baraku. Ten barak wyglądał, że to były magazyny zbożowe, w tym baraku umieszczone ale i pomimo to były tam przgrody, piece były powstawiane i przygotowane już do zamieszkania. W Ziarnosowchozie mama i starsza siostra pracowały w kołchozie, siostra średnia, starsza ode mnie zajmowała się wychowaniem najmłodszego braciszka, a ja jak zwykle poszłem do szkoły. Tam już było o tyle gorzej, że już musieliśmy jako już starsi, bo już rozpoczynaliśmy drugie półrocze pierwszej klasy czy nawet już druga klasa była, trudno mi w tej chwili przypomnieć sobie, sami dbać o to, na czym mieliśmy pisać. Więc jak to wyglądało? Szliśmy z rana, po drodze, pod biura, tam żeśmy zebrali, kto pierwszy, to więcej gazet dostał, te gazety żeśmy brali pod pachę i szliśmy do szkoły. I na tych gazetach żeśmy się uczyli pisać. Pisaliśmy również po rusku, uczyliśmy się pisać. Dawali nam czyste kartki, tam nauczycielka miała, w trakcie tylko dyktanda czy jakiejś tam no specjalnych wypracowań, jeżeli chciała nasze umiejętności sprawdzić nauczycielka. Przypominam sobie taki fakt, że raz dostałem taką kartkę i zacząłem pisać, wszyscy już tam pisali już strasznie, a coś, czy mi głowa bolała, czy coś, trudno mi w tej chwili powiedzieć, wiem, że całą tą kartkę pokropkowałem i pokreskowałem, nic na niej nie napisałem. To raz,

że oberwałem linijką po łapach, nie linijką tylko różgą, bo tam linijek nie było, drugi raz jeszcze wezwali moją matulę na rozmowę i jeszcze od matuli mi się dostało. Trudno, taki był już nas los. Oprócz chodzenia do szkoły również zajmowaliśmy się, bo nie zawsze nam starczało w żołądku tego, co się należało z domu, kombinowaliśmy jak mogliśmy, żeby uzupełnić swoje zapasy żołądkowe. Między innymi w kołchozie rosły łany dyni i arbuzów. I te arbuzy, jak dojrzały, były dla nas wielkim rarytasem. i uzupełnieniem naszego jadłospisu. Jak to się odbywało? Dostyć często żeśmy szli po prostu na pola, w związku z tym, że byliśmy mali, jeszcze, to nas tam i niewiele było widać i zawsze tego arbuza żeśmy sobie podciągli z tego pola, trochę żeśmy się sami najedli, trochę żeśmy i do domu nawet donieśli tych arbuzów. Ale jak zaczęli sołowicie pilnować na polach, to myśmy sobie wykombinowali inną metodę. Jak rozpoczęły się zbiory, wieźli już te arbuzy na wozach, do magazynów, to my za tymi wozami i jeden się wspinał na wóz, zrzucał te arbuzy na ziemię, a my po prostu ~~je~~ ^{sobie} zbierali z ziemi i też mieliśmy te arbuzy. Póki były plony na, w kołchozach, to i myśmy mieli te zawsze uzupełnienie żołądkowe. To tyle o pożywieniu. Ale jeszcze wspomnę jedno. Jak nas przywieźli tylko do tego kołchozu, byliśmy bardzo początkowo uradowani, bo żeśmy zobaczyli łan kukurydzy, mało co zebranej, jeszcze były kaczany na niektórych kukurydżach, więc rzuciliśmy się na to, bo byliśmy bardzo głodni, chcieliśmy się dojeść. I dzieci i niektórzy dorośli, zaczęliśmy plądrować po tym polu kukurydzianym i resztę kaczanów wybierałyśmy. Długo to nie trwało, po jakimś czasie patrzymy, gdzie trzech jeźdźców, oczywiście ze szpicami na głowach z szpicrutami w garści czy to z batami, to raczej takie pejczy były do bicia koni. Jak zaczęli nas okładać, to myśmy o wszystkim zapomnieli. I o tych kaczanach, które żeśmy zebrali i już w kieszeniach

mieli i o tych, które inni już tam szli do domu. Wszystko nam zabrali, pogonili nas i powiedzieli, że jak chcemy jeść to musimy wpierw sobie zarobić. Że to jest kradzież. I tak musimy się ucieszyć, że jeszcze nas za to nie zamknęli tylko nas przegonili. Że to tylko ostrzeżenie jest, żebyśmy na drugi raz tam nie szli i nie zabierali. To początek kołchozowy. Teraz opowiem trochę jak to się działo z dorosłymi, którzy pracowali i również sobie uzupełniali, bo z tego, co się zarobiło i z tych kartek, trudno nam by było tutaj dzisiaj siedzieć i opowiadać, nie wiadomo, czy byśmy wrócili. Matula moja często pracowała przy przegarnianiu zboża, żeby nie stęchło, z jednej kupki na drugą, jak również nieraz przytrafiało się jej pracować w młynie. To w zależności, czy pracowała przy zbożu czy pracowała przy mące to zawsze tam w nogawki, w spodniach to zawsze tam coś przyniosła. Myśmy zbierali te dary, które matuli się tam zaplętały w nogawkach do woreczków i z drugiego nie Ziarnosowchozu, trudno mi powiedzieć jak ten kołchoz się nazywał, w każdym bądź razie, w następnym kołchozie chodowali tylko krowy. I oni znowu z kolei mieli mleko, śmietanę i ser. I dosyć często z tymi właśnie produktami przychodzili do nas. Następywała tzw. wymiana towarowa, to się nazywało "mienianiem". Więc oni nam dawali za zboże, które żeśmy tam nagromadzili sobie w woreczkach, śmietanę, masło czy mleko, a myśmy im dawali pszenicę. I to się odbywało "jak za króla Ówiczka", były tam kubeczki półlitrowe, takimi kubeczkami się odmierzało, targowało się oczywiście tam w zależności, kto co potrzebował, czy masło czy mleko czy śmietanę czy ser. i odpowiednią ilość kubków pszenicy. I tak żeśmy się dożywiali. I tam już niedługo, w roku 45 zorientowaliśmy się, że już niedługo powrócimy do kraju, tak przez nas oczekiwanego powrotu. Zaczęliśmy się pomału szykować, ładować wszystko do worów, tam walizek to tam nie us-

wiadczył nikt , w workach czy tam w chustach pozawiazywane te tobołeczki, na samochód żeśmy to wszystko zaczęli wkładać. Był wtenczas wielki dramat dla tych, co zostawali. W początkowej fazie dosyć zżyliśmy się tam z tamtejszą ludnością, tym bardziej było przykro, że tam wśród nich byli również i Polacy wcześniej przywiezieni od nas i oni musieli pozostać, bo już byli traktowani jako obywatele radzieccy. I przy okazji od razu przypomniałem sobie jak jedna pani w szkole po prostu, która nas uczyła czytania i pisania, się okazało również , że była Polka. A było to tak. Po prostu my z kolegą we dwójkę ja i Gienek, zaraz, jak on się nazywał, Lebica Gienek, siedzieliśmy w jednej ławce i żeśmy co rusz zaczęliśmy się śmiać, bo w tej szkole to i nie uczono nas po rusku , a po ukraińsku. I te określenia ukraińskie inne miało jak nasze i dosyć niektóre śmieszne były i myśmy się po prostu z tego uśmiechali. Więc nauczycielka zwróciła nam uwagę, dlaczego my się śmiejemy? Nawet myśmy nie wiedzieli, a ona nam sama podniosła nogę do góry i mówi: "Czy wy śmiejecie się z moich butów, że mam dziurawe i słoma mi wystaje z nich?" Mówiła do nas już po polsku. Później w trakcie rozmowy się okazało, że ona właśnie była wcześniej parę lat ^{temu} przywieziona , już zrusyfikowana i po prostu uczyła tam w szkole, w czasie trwania roku szkolnego. Gdy rok szkolny się skończył to musiała normalnie ~~xię~~ tak jak wszyscy pracować w kołchozie, w polu. Tak mniej więcej wyglądała praca tamtejszych ludzi.

Pytanie: "Jak się nazywała tamta nauczycielka?"

Jak się nazywała to już nie pamiętam, trudno mi w tej chwili powiedzieć, w każdym bądź razie w lutym, załadowaliśmy się na samochody. Przy samochodach również była tam wielka rozpacz, bo niektórzy doroślejsi już młodzianie i młodzi po prostu pozakochiwali się i trudno im się było rozstać. Przypominam sobie jedno

nawet wydarzenie, że dziewczyna zostawała już w pokaźnym stanie i chłopak był w rozterce, nie wiedział, czy ma wsiąść na ten samochód i jechać razem z nami czy zostać z nią? Najprawdopodobniej jeszcze został ale później w trakcie podróży naszej dołączył jednak do nas, bo doszedł do wniosku, że być może postara się i ją ściągnąć jakoś do siebie do Polski.

No i ruszyliśmy do naszej, kochanej Ojczyzny. Tam wiele nie pamiętam z tej podróży, bo jeszcze też byłem mały, ale wiem, że już dosyć dużo było swobodniej. Na każdej stacji mogliśmy sobie wyjść z wagonów i o dziwo było przygotowane i zupa była przygotowana i gorąca woda na herbatę tzw. "kipitok". Także już mieliśmy jakieś zadbanie o nas. Dojechaliśmy tak do granicy polsko-rosyjskiej tam wiele na tej granicy nie staliśmy, dosyć szybko nas przepuścili i dłuższy postój mieliśmy właśnie na polskiej granicy. I akurat w tej miejscowości, to była niedziela, wyszliśmy tam obejrzeć jak to polskie miasteczko wygląda? Przykro nam się zrobiło, bo wszyscy byli ładnie ubrani, szli do kościoła czy z kościoła, czy spacerowali sobie. My cośmy się chcieli zbliżyć, to spod gardeł patrzyli na nas, jak na zwierzaków.

Pytanie: "Jakie to miasto było?"

Jakie to miasto było to już też nie powiem, bym musiał się dowiedzieć u siostry, siostrę raz spytałem starszej, to ona też nie pamiętała, jakie to miasto, a najstarsza siostra to już nie żyje i nie powie, jakie to było miasto. Chyba, że bym poszedł do kuzynostwa, tam u kuzynostwa się dowiedział. No właśnie od kuzynostwa się dowiedziałem, że oni również takie same mieli przeżycia jak i my, że niezbyt chętnie do nas Polacy, do nas uradowanych, uszczęśliwionych, że jesteśmy wreszcie wśród swoich, a te nasi się odwrócili od nas.

Po przekroczeniu granicy polsko-radzieckiej, jechaliśmy dalej,

przez całą Polskę,dojechaliśmy aż do Stargardu Szczecińskiego. W Stargardzie Szczecińskim wyszliśmy na dworzec porozglądać się, popatrzeć jak to wygląda.My jako mali chłopcy zaczęliśmy biegać po tym dworcu i natrafiliśmy na jednego Niemca leżącego, zabitego w Stargardzie Szczecińskim.Czy nie zdążyli go uprzętnąć po wojnie,czy już w trakcie tam jakiejś ,bandziory czy ktoś go napadł tego jednego Niemca,i tak stało się.Staliśmy tam dłuższy okres czasu i o dziwo mijaliśmy się również z innym pociągiem,patrzyliśmy jak wieźli właśnie tych,którym zawdzięczamy tą tułaczkę po Rosji,jako niewolników,Niemców w ten sam sposób jak nas wieźli,parę lat temu,tak ich teraz wieźli.I im tam też otworzyli jedne drzwi i tam zaczęli wołać do nas,my czując jak byliśmy my w takiej,równie rozpaczliwie trudnej sytuacji i dorośli i dzieciaki i kto co miał,kawałek chleba czy coś,mimo to ,że to nasz wróg był zaciętrzewiony,podlatywaliśmy do tych wagonów i chcieliśmy im dać chleba.Niestety,Armia Radziecka,która tam ich pilnowała,to wojsko,które ich tam wieźli, jeszcze nas poturbowali tymi kolbami za to,żeśmy chcieli trochę ludzkiego odruchu okazać względem tych jeńców,których wieźli na nasze miejsce,skąd myśmy wrócili.No i tak w Stargardzie Szczecińskim porozdysponowali nas.Jedni zabrali znowu na południe Polski,a ja się dostałem do tej grupy,których przywieźli do Chociwela.W Chociwelu żeśmy zaczęli każdy na własną rękę szukać,chodzić,jakieś mieszkanie.No mieszkań było dość sporo pustych,bo to zaraz po wojnie było ,Niemców już nie było,tylko gdzieś niedzie jeszcze tam się spotykały ludzie,ęktoktoni! tzw.gdzieś niedzie niemieccy,a my jako dzieciarnia no ganialiśmy po tych budynkach,tych blokach,szukaliśmy za resztkami pożywienia.Każdy gdzie kto mógł,gdzie kto sobie jakąś tam chałupinkę znalazł. Dużo lepsze już warunki były oczywiście,bo już mieliśmy tutaj

normalne domy, w których poprzednio zamieszkiwali Niemcy, teraz my się w nich osiedlali. Niektórzy mieli jeszcze wielkie szczęście, bo tam niezbyt były te domy zdewastowane, nawet jeszcze szafy były całe, stoły, okna. No do tego pomieszczenia, do tego mieszkania, gdzie myśmy weszli, trzeba było parę szyb wstawić, to po prostu się szło do innego budynku, tam gdzie nikt jeszcze nie mieszkał, brało się tam szyby, wyciągało, czy razem z okiennicami wstawiało się tam gdzie żeśmy chcieli się zadomowić. I tam żeśmy długo nie mieszkali w Chociwelu, bo po dosyć krótkim czasie, tam parę tygodni minęło i odnalazł się nasz ojciec. Tam mieszkaliśmy jeszcze z ojcem wspólnie z tydzień czasu i już znalazł gospodarstwo w Białogardzie, no i do Białogardu żeśmy się przenieśli z Chociwela. W Białogardzie tam oczywiście ukończyłem szkołę podstawową, z dużym opóźnieniem, bo wiadomo przyjechałem już jako 11-letni chłopiec, który już powinien być w trzeciej, czwartej klasie, a ja dopiero musiałem rozpoczynać naukę w szkole. I tak po ciężkich trudach w Białogardzie ukończyłem szkołę podstawową, Technikum Mechaniczne i poszedłem do pracy. Pierwsza moja praca to był nakaz, bo jak było wiadomo wszystkim, tzw. były nakazy pracy i pracowałem rok czasu w Iłławskiej Wytwórni Części Samochodowych w Iłławie. Po "odbębnieniu" nakazu pracy, który trwał rok czasu, wróciłem z powrotem do Białogardu, no i w Białogardzie tam w kilku instytucjach, później się przeżuciłem do Koszalina do pracy. Pracowałem i w szkolnictwie, w szkole zawodowej, później pracowałem w przemyśle terenowym. Najdłużej pracowałem w KAZEL-u. A na końcu, gdzie wybrałem się na emeryturę i siedzę tutaj tego pracowałem w Browarze Koszalińskim. Wyszłem za mąż, przepraszam ożeniłem się roku 1959, mam obecnie dwóch synów, trójkę wnucząt no i żonę, która dba o mnie i wnuki bawi. Dziękujemy, to by było narazie tyle w chronologicznym ułożeniu. Chyba, że jeszcze tutaj

kilka wspomnień, takich młodzieńczych psikusów. Oto jeden z nich. Będąc na Syberii po prostu jak to chłopcy, tam była duża rzeka, piękna rzeka, szeroka, większa jak nasza Wisła, w której się niestety zacząłem uczyć pływać. I nauczyłem się, mimo to, że dwa razy ledwie mnie uratowali. Bo w tej rzece były dosyć duże wiry. No jak to zwykle chłopcy, przez te wiry kombinowali jakoś przepływać. Ruscy, dorośli chłopcy już byli wysportowani i umiejący pływać śmieli się z nas, maluchów, "a wy nie umiecie przepłynąć, to wy polaczki takie czto?" a my ^{oczywiście} chcieliśmy pokazać, że my "polaczki" też nie gorsi, przepływaliśmy przez te wiry i dwa razy mnie taki wir wciągnął, niestety to dosyć przykra chwila, kiedy się człowiek topi. Po prostu chcę oddychać i tu zamiast powietrza to tu wodę wciągamy w siebie. Robi się w oczach żółto, ocrasz żółć ciemniejsza się staje, w końcu ciemno się w oczach robi i się zapomina i się nic nie wie, co się z człowiekiem dzieje. Dopiero po jakimś czasie się dowiaduje, jak już się jest w domu na łóżku i matka czuwa nad nim, kiedy wreszcie otworzy oczy i coś powie. Taka to była moja nauka pływania w Jenisieju.

Może jeszcze jedno wspomnienie, to też dosyć takie łobuzowate. Jak wiadomo w Rosji to tam produkty były różnego rodzaju, między innymi cukier mieliśmy w kostkach. Te kostki nie były takie ładne jak w tej chwili u nas pokrojone tam z czworościanów, tylko oni wyglądali mniej więcej tak jak w tej chwili drobny węgiel. Tak samo i ten cukier był, tylko zamiast węgla czarnego to biały cukier. I matula zawsze miała tego cukru nieraz w zapasie, tam zawiązane w chusteczce czy w jakiejś szmatce, no i żeśmy tym słodzili. A ja jak to mały łobuziak, nieraz posłodziłem i podpatrzyłem, gdzie mama to chowa i parę kostek w kieszeń i dalej gryźć na podwórku, na dworze. Chłopcy mnie podpatrzyli i dawaj wyłudzać ode mnie ten cukier. Jeden taki duży chłopak zaczął mnie

szantażować, mówi: "albo dasz cukier, albo powiem Twojej matce". No i co ja miałem robić? Dam im cukier to nie będę sam miał, co jeść, nie będzie nawet czym herbaty słodzić, bo już dwa razy im wyniosłem, a to już mało co zostało w tej chusteczce więc już im nie dałem. Ten jak powiedział tak i zrobił. Mama jak wracała z pracy, gdzieś tam ją spotkał i powiedział, że co ma za syna, że wynosi i cukier rozdaje. Tak dostałem wtenczas lanie od mamy za ten cukier ale i tak się cieszyłem, bo wszystkiego cukru nie wydałem, że lanie dostałem ale sobie herbatę i tak posłodziłem. Cukrem. Jeszcze mi się przypomniała kąpiel na Syberii. Zawsze tam, no raz w tygodniu była taka kąpiel zbiorowa. To mi się przypomina, że ja nieraz również brałem w tej kąpielu udział. Przeważnie szli wszyscy rozbierać do łaźni każdy osobno, wejścia były, dwa wejścia. Jedno dla pań, drugie dla panów i zależy dziecko było czy żeńskie czy męskie to tam szło z tamtej strony ^{się} wykąpać do tej bani. A bania, jak to wyglądało? Był kocioł z wodą, pod którym się paliło, obłożony wielkimi kamieniami, ten kocioł. Palenisko z wielkich kamieni było złożone, były tam takie porobione po prostu ala prycze nie prycze, takie półki. Wielka, dosyć duże to pomieszczenie było również i bez półek, to tam było drugie pomieszczenie, tam było trochę miednic, takich mioteł, jak to nieraz się zamiata, na podwórku, z witek brzozowych porobionych. No i wszystko ładnie, pięknie się szło rozbierać, idzie się każdy kąpać tego i spotykają się wszyscy, dzieci i dorośli i wszystko na nagusa i kąpią się. Najlepiej no jak to ja, przychodzimy do domu, a ja się mamusi pytam: "mama, a czego ta pani ma duży brzuch, miała"? No i mama rad nie rad musiała mnie tłumaczyć, czego to niektóre panie mają duże brzuchy, które zauważyłem oczywiście kąpiąc się razem z tymi paniami, w stroju Adama i Ewy. To jedna z historii ciekawych. Jeszcze mogę sobie przypomnieć historyjkę ciekawą, może nie tak

ciekawą, ale dosyć taka żadko spotykana. Zimową porą, nieraz się siedziało spokojnie w domu, no dom, tak to można określić te baraki, w którychżeśmy siedzieli. Dosyć często spotykało nas wybuchy, huki, strzelanina. Każdy, w początkowych chwilach, jak żeśmy tylko tam zamieszkali, zdziwiło nas to, co się tam dzieje. To się okazuje, że z mrozu drzewa pękają. Z tego trzasku. Co jeszcze ciekawa tam jest również przyroda. Po prostu zimową porą, nie ma zbyt dużych wiatrów. Nieraz, jak się pokazał większy wiatr, to jak ktoś się znalazł w tajdze, to musiał szybko zwiewać, bo go mogło drzewo przycisnąć. Bo wiele takich drzew było, co już ledwie, ledwie stało. Wystarczył tylko mały powiew wiatru, waliło się to wszystko, na ziemię. I niezbyt przyjemna by to była sytuacja, gdyby drzewo takie się wywaliło na człowieka. Wśród tych drzew znajdowały się również cedry. Dla nas jako dzieciaków było to raj. Raz w roku, oczywiście korzystaliśmy z dobrodziejstw tych cedr. To były piękne szyszki, dorodne, a w tych szyszkach, między łuskami smaczne orzeszki. I myśmy te orzeszki oczywiście zjadali. Z wielkim apetytem, bo to nawet smaczniejsze było niż nasze orzeszki laskowe, mimo że głodniejsi byliśmy i dlatego to nam bardziej smakowało. Te cedry były bardzo wysokie i ciężko było się tam dostać, jak wiatr nam nie strącił czy tam jakaś zwierzyna, która tam się plątała po tych cedrach, a było ich tam dosyć sporo. Tak jak u nas wiewiórki to tam "boronduki". Troszku mniejsze były te zwierzązki od wiewiórek i ładniejsze, bo mieli paski po sobie różnokolorowe wzdłuż. Tak jak zebry mieli paski biało-czerwone, tak oni mieli różne kolory te paseczki ta boronduszki. I jako mały chłopiec nawet z takich boronduszków, udało, no nie mnie tylko moim rodzicom zdobyć czapkę taką na uszy z takich borodⁿuszek. Ale mi wszyscy chłopcy zazdrościli tej czapki. Oprócz tej czapki na uszach to mieliśmy zrobione buty nie buty, jak to można określić,

tak jak u nas w tej chwili kozaki, tylko, że tamte kozaki były robione ze skóry reniferzej. Były nawet dosyć ciepłe. Ale to nie wszystkich było stać na takie buty. Te buty my mieliśmy i tą czapkę dopiero rodzice mi zdobyli, jak ojciec pracował właśnie, to wspominałem poprzednio na kopalni złota. Oprócz tej czapki zafundowali mnie również kożuszek. No trochę większy, żeby mi na dłużej starczył. Oczywiście ten kożuszek był bardzo piękny, lubiłem go, no niestety w Polsce już mi długo nie posłużył, bo tyle insektów się do niego dostało, a mówiąc oględniej wszów i tych innych gadów, że nie szło tego wytępić. Trzeba było z razem z kożuszkem to spalić. I tak się cieszyłem tym kożuszkem niezbyt długo. Oprócz tego, że mnie ogrzewał, ale również i ogrzewał moich "krwiopijców" czyli moje weszki kochane.

Oprócz poprzednich opowiadań należałoby wspomnieć kilka faktów związanych z życiem mego ojca. Otóż nie było ono tak piękne i różowe, jak by się to wydawało. Miał trzy takie momenty, z których no cudem uszedł z życiem. Pierwszy z tych momentów był, gdy mocno zachorował, dostał się do szpitala, gdzie go uznali już za nieboszczyka i odstawili go do, no do prosektorium jak to u nas nazywają w tej chwili, a tam to niby była kostnica, w której zamiast umrzeć do końca to po budził się. I rano narobił wielkiego tarabaniu, no niestety mimo to, że mieli wielkiego stracha, myśleli, że tam cała swora duchów jest. Wypuścili go i żyje do tej pory. Następny moment dosyć tragiczny. W czasie pracy, przy wydobywaniu złota. Oni po wyciągnięciu, po wyrobiskach, no po wyciągnięciu tej ziemi złotonośnej, należało tam te ściany, stropy umocnić. Do tych umocnień po prostu służyły, jak do wszystkiego tajgowe lasy. Więc trzeba było zrębywać, odpowiedniej grubości drzewa, te drzewa na odpowiednią wysokość, długość po prostu ciąć, przygotowywać sobie u góry, wszystko to później spuścić na dół i tymi belami umacniać ściany i stropy. Więc ojciec sobie przygotował wszystko,

w dobrą wiarę poszedł, jak już doszło do tego, że te korytarze się zrobiły niebezpieczne należało je umocnić. Wyszedł z tej szachty, jak to się określało taką kopalnią, szachtą, na powierzchnię i chciał sobie do niej spuścić przygotowane uprzednio kloce. No niestety. Kloce już nie zastał. Jeden ze współpracowników również taki zesłaniec jak i ojciec, tylko, że pochodzenia ruskiego zabrał mu to i swoje tam te tunele, które pokopał, poumacniał. Ojciec się o tym dowiedział no i oczywiście w furii spuścił mu dosyć solidne lanie. Na to wszystko naszedł NKWD-zista, odwołał ojca na bok, wyciągnął spluwę no i nie wiem, co za omen napadł tego NKWD-zistę, że jednak nie skorzystał z tego, z tej broni i po długich ~~wskazywaniach~~ błaganiach, prośbie, puścił ojca wolno. No i oczywiście musiał sobie ojciec od nowa przygotować te bele, przeprosić poturbowanego Ruska i to był następny z takich momentów. Później jeszcze jeden moment miał również niebezpieczny, w którym to momencie gdzieś się sam dowiedział i się chciał podzielić ze swoimi kolegami o wypadkach, które były w Katyniu. To już odbywało się, gdy ojciec był już w Armii Kościuszkowskiej. Pech chciał, że na tę rozmowę naszedł jeden z ruskich oficerów i podsłuchał tę rozmowę, za którą ojca również na bok wywołał i bez sądu, bez niczego również chciał go rozstrzelać, ale ojca najprawdopodobniej no tam miał również i^w tym przypadku wielkie szczęście, że też nie doszło do tej egzekucji. I mimo tych perturbacji ojciec dojechał do Polski i zmarł śmiercią naturalną, na wrzody żołądka. Dziękuję.

Malina Krajewska - Zurejlo
ul. Karłowina 46 m 4
75-563 Konalin
tel. 45-68-03